

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

3

— I że nie chciała zamieszkać w pałacu! Aby być swobodniejszą zapewne! — zaśmiał się konwulsyjnie Henryk.

— Proszę cię, mój przyjacielu, uspokój się, coś dziwnego, że ta mała...

— Panna Janina le Brenn — przerwał ostro młody hrabia.

— A więc panna Janina le Brenn, będąc tak młodą, pragnie zabawić się cokolwiek. I doprawdy, nie rozumiem, dlaczego tak interesujesz się jej zniknięciem, szczególnie teraz, gdy wkrótce masz zostać mężem uroczej panny de Bressien!

— Andrzej, przestań! Wspomnienie tego związku doprowadza mnie do rozpacz! Jesteś moim przyjacielem, nieprawdaz? Mogę liczyć na twoją dyskrecję. Wiedz, że zgodziłem się jedynie dlatego, aby nazwisko Kermorów uchronić przed hańbą, jaka mu groziła! Oh! żeby nie matka moja! A teraz, teraz, ta niepewność, że ona, ta, którą w marzeniach moich do ideału doskonałości wynosiłem, nie jest może godną ani myśli mojej serdecznej. Andrzej, ja oszałeję, jeżeli się nie przekonam naocznie. Mówiłeś mi, że w czasie mojej nieobecności zawiązała różne znajomości.

— Cóż z tego! Gdyby nawet panna Janina dała się porwać temu wirowi, który zazwyczaj pochłania młode i ładne, żadne zabawy dziewczęta, to tylko litować się nad nią należy! Ale dlaczego tak rozpaczać! Ty, hrabia de Kermor! Pomyśl o sobie, Henryku, błagam, zechciej zapomnieć o tej dziewczynie, która zapewne na chwilę nie pomyślała o tobie, która może warta nie jest jednego twojego spojrzenia. Bo pomyśl tylko, jak wytłumaczyć ucieczkę jej z pałacu i list pozostawiony markizie!

— Chcę wiedzieć prawdę — zawołał młody człowiek — to silniejsze od wszelkich rozumowań i odczucia!

— Chodź, zaprowadzę cię do miejsc, gdzie rozewiesz się trochę i może zapomnisz.

— Delrue — odpowiedział zimno hrabia — pójdziesz ze mną na bal do Hal.

W kilka minut później Delrue i Henryk de Kermor zdążyli powozem do rogatek; zatrzymali się w bocznej uliczce i wysiedli.

— Idźmy dalej pieszko — rzekł Henryk — to mnie uspokoi.

Doszli do domu oświetlonego wielkimi lampami, pod którym krążyło kilku agentów policyjnych w kapturach nasuniętych na oczy.

W sali panował gwar nie do opisanego, zaduch i kurz. Wokoło okrągłych stolików, stojących rzędem pod ścianą, cisnął się rój gości w różnorodnych przebraniach. Orkiestra na estradzie grała jakąś szaloną galopadę.

— Z drogi, panowie! — zawołał jakiś ulicznik, skacząc na rękach w wielkich susach po sali.

Delrue z drżeniem rozpoznał w nim Tota, towarzysza Barykady. Olbrzym stał o kilka kroków z kufem w ręce i przypatrywał się z zadowoleniem zabawie, wydając okrzyki i pomruki radości.

Henryk był jakby oszołomiony fantastycznym i dzikim wyglądem sali, widokiem jaskrawo ubranych kobiet, ich śmiechem zuchwałym i cynicznym, gwarem i chaosem ordynarnym, wybiegającym z każdego kąta.

Głęboki smutek objął go nagle i dziwne zniechęcenie na myśl, że tu, w tej okropnej norze rozpusty i zepsucia, mogła choć na chwilę jedną znaleźć się jego Janka, to czyste i łagodne dziecko. Lękał się, że lada chwila ujrzeć ją może, a wtedy na zawsze utracić będzie musiał wszelką nadzieję i wiarę.

Delrue, który stał za nim, drgnął nagle. Jakaś ręka ciężko spoczęła na jego ramieniu i głos jakiś przyciszony wymówił znacząco:

— Stanie się tej nocy. Barykada już idzie na posterunek. Pamiętaj, hotel Ambasadorów. Przygotuj pieniądze.

Andrzej Delrue zbladł silnie. Rozpoznał głos Kudłacza. A więc stało się! Janina le Brenn zginie za chwilę.

— Wyjdźmy stąd, wyjdźmy — wyszeptał nagle Henryk de Kermor — Duszę się!

— Chodźmy — odpowiedział niedbale Delrue — Niema jej tu, zdaje się, dzisiaj.

Henryk odetchnął głęboko, gdy znalazł się na

ulicy. Był tak wzruszony, że wsparł się o mur domu i dyszał ciężko.

Bal już dobiegał do końca, bo wkrótce ruchomy potok głów ludzkich wylał się przez drzwi na ulicę, muzyka ucichła, światła pogasty, zamilkły nawoływania i turkot dorożek zamierał powoli w dali.

Ulica opustoszała zupełnie.

— Chodźmy — nalegał Delrue — narażamy się na niebezpieczeństwo, stojąc tutaj sami. Patrz, ajenci już odeszli.

Henryk poruszył się z trudem, lecz w tej chwili krzyk rozpaczliwy przeszył powietrze. Przybiegł on z ulicy Entrepot, z za koszar, które tońęły w zupełnej ciemności.

— Słyszałeś, Andrzej?

— To apasze! Chodźmy! Są uzbrojeni! Nie mieszkajmy się lepiej do nich.

— Ależ to był krzyk kobiety!

— Co z tego! Mało ich się tu włóczy?! To nowy sposób przywabiania, nic więcej!

Ale znowu rozległ się krzyk drugi, tym razem nabrzmiały śmiertelną rozpaczą i przerażeniem.

— Biegnijmy, Andrzej! — zawołał rozkazująco Henryk de Kermor, rzucając się naprzód, gotów stawić czoło największemu niebezpieczeństwu.

Delrue był wściekły, okropna myśl nagle zaśniąla mu w mózgu. Jeżeli to oni, jego współnicy! Ale nie! Tamto musiało już być załatwione, i nie tutaj przecież, tam, bliżej kanału.

Zmuszony jednak był pomimo woli iść za towarzyszem. Postanowił jednak trzymać się z daleka od terenu walki i dopiero w ostateczności bronić hrabiego, którego życie było mu jeszcze potrzebne do jego niecznych spekulacji.

Henryk szybko dobiegł do ogrodzenia, skąd wybiegło rozpaczliwe wezwanie o ratunek i starał się zorientować wśród ciemności. Nagle dostrzegł kilka cieni zbitych w jedno miejsce, jakby przyczajonych w oczekiwaniu. Musieli go dostrzedz. Henryk zaciśnął silniej łaskę w ręce, ukrył się za wystający zółm zwalonego muru i czekał, nie czyniąc najmniejszego poruszenia.

Po chwili dał się słyszeć szept stłumiony:

— Poszedł?

— Niema go nigdzie! Dalej do roboty!

Myślano więc, że odszedł; przycisnął się jeszcze lepiej, gotów do skoku.

Cienie pod rumowiskiem poruszyły się, było ich trzy. Henryk dojrzał w mroku, rozjaśniającym się cokolwiek, blade ich twarze.

Były to trzy indywidua, wstrętne i obszarpane, podobne do tych ludzi, których niedawno widział na sali balowej w Halach.

Ludzie ci wlekli bezwładne ciała kobiece ku dołowi, znajdującemu się wśród rumowisk. Henryk wyskoczył z ukrycia.

— Hej! przyjaciele! — zabrzmiał ochrypły głos — Bacność! Ten ptaszek powrócił! Noże w pogotowiu! Ja się załatwię z małą! Hej, Kudłacz, Toto!

Kudłacz z nożem w ręce znalazł się przy Henryku, ale już ciężka, okuta laska, z głuchym łoskotem uderzyła o jego głowę. Rozległ się krzyk i apasz z rozstraskanym mózgiem leżał na ziemi.

— Już jeden! — szepnął Henryk de Kermor.

— Toto! dalej! Upuść mu trochę krwi! — ryczał Barykada z wściekłością, unosząc swoją omdlałą ofiarę.

Toto, ze zręcznością kota przycisnął się z nożem w ręce do skoku. Ale w tej chwili dojrzał Andrzeja Delrue, który z ukrycia śledził rozpaczliwie przebieg walki.

— Pst! — zasyczał ulicznik — Jest jeszcze jeden! I z rewolwerem! Uwaga! sprawa się psuje! Mnie tu już niema!

W kilku susach przeskoczył mur i rowy i już biegł co tchu ku miastu.

Henryk pozostał teraz sam z apaszem.

— Zostaw tą kobietę, rozumiesz? — zawołał przybliżając się.

Barykada mruknął groźnie. Nagle porzucił na ziemię swój ciężar i zaśmiał się drwiąco.

— Masz słusność, mój mały! Poczekaj!

Wsunał szybko rękę do kieszeni i wyciągnął z niej długi, błyszczący nóż.

— A teraz zmierzmy się, panie arystokrato! — zawołał zuchwale. — Ale co do tej dziewczyny, to jej nie dostaniesz, uspokój się. Po sam trzonek, rozumiesz, ty i ona!

Henryk de Kermor pogardliwie wzruszył ramionami.

— Zostaw tą kobietę — powtórzył spokojnie.

— Śmiej się z tego! Pilnuj lepiej siebie, panicyku! Zaraz się z tobą załatwię, bo to mnie już nudzić zaczyna...

Ostatnie słowa uwieźły w gardle apasza, wrzasnął przeraźliwie, wypuszczając nóż z ręki. Po raz

drugi laska, okręciwszy szalonego młynka, spadła tym razem na ramię nędznika, miażdżąc mu kości. Zanim mógł się opamiętać, Henryk rzucił się na niego, chwytając pod gardło. Apasz zachwiał się kilkakrotnie i runął na ziemię, uderzając głową o kamień chodnika.

Henryk już klęczał przy nieznajomej.

— Andrzej! — zawołał, przypomniałszy sobie teraz dopiero przyjaciela — Gdzież jesteś, u dyabła! Biegnij natychmiast do miasta po pomoc. Ja pozostanę przy tej nieszczęśliwej!

Drżącymi rękami starał się odwinąć chustkę, którą była owinięta twarz kobiety. Delrue, jakby sparaliżowany stał w miejscu, pniąc się ze wściekłości. On wiedział, przeczuwał, kim była nieznajoma. Ale nagle błysk nadziei zajaśniał w jego oczach. To, co ujrzał, sownie wynagradzało go za te chwil kilka przeżytych w męce oczekiwania, bo podczas gdy hrabia de Kermor klęczał nad nieznajomą, apasz, którego upadek na kamienie oszołomił i pozbawił przytomności, ocknął się teraz z omdlenia i czołgając się z wysiłkiem po nóż leżący opodal, skierował się ostrożnie w stronę młodego człowieka.

Delrue ujrzał błysk noża w powietrzu, i Henryk z cichym jękiem zwałił się obok ciała bezwładnej kobiety.

Wysiłek ten widocznie wyczerpał resztę sił zbrodniarza, gdyż od tej chwili nie poruszył się już więcej.

Skurcz nerwowy wykrzywił twarz Andrzeja Delrue. Szczęście mu sprzyjało, bo to, czego nie mogli dokonać apasze, on sam, własną ręką dokona. Janina le Brenn jest tu! Leży bez czucia, zdana na jego łaskę. Nóż Barykady, ciepły jeszcze od krwi Henryka, posłuży mu do dokonania zbrodni.

Podniósł go z ziemi i pochylił się nad zemdloną, odchyła do reszty chustkę z twarzy. Tak! to ona! Był tego pewny. Ale w ostatecznej chwili zabrakło mu odwagi. Zimny pot wystąpił na czoło nędznika, a ręka trzymająca nóż bezwładnie opadła na ziemię. I nagle Delrue uczuł, że nie będzie w stanie tego uczynić, nie zdoła przewyciężyć tego piekielnego strachu, który jak w kleszcze objął całą jego istotę.

Lecz nagle spostrzegł, że nieszczęśliwa dziewczyna oczy otworzyła i równocześnie przyszła Andrzeja nowa myśl, nowy zamiar do głowy. Postanowił i tę sytuację, stosownie do siebie, wykorzystać. Pochylił się z udaną troskliwością nad dziewczyną.

— Panno Janino! To ja, Andrzej Delrue, niech się pani nie obawia.

Janka usiłowała się zerwać, lecz zdołała tylko unieść głowę.

— Pan? panie Delrue? — wyjąkała z przerażeniem. — Co pan tu robi? Co się stało?

— Nic groźnego! Przechodząc ulicą usłyszałem krzyk kobiety, przybiegłem i rozpedziłem napastników pani, oto wszystko. Każdy na moim miejscu byłby uczynił to samo! Czuję się tak szczęśliwym, że mogłem uratować panią!

Janka gorąco ścisnęła jego dłoń, zapominając mu nawet podziękować za obronę. Myślała tylko o tem, że Delrue teraz pójdzie za nią, odprowadzi do mieszkania i nowy jej adres zakomunikuje markizie.

— Panie Delrue! — wyszeptała błagalnie — mam prośbę do pana. Pozwól mi oddalić się samej. Nie idź za mną, nie staraj się dowiedzieć, gdzie mieszkam. Uczynisz mi tym większą przysługę, niż uczyniłeś, ratując mi życie!

— Pragnienie pani jest dla mnie rozkazem. — odpowiedział Delrue, maskując uśmiech złośliwości — Proszę odejść spokojnie i liczyć na moją dyskrecję.

— Oh! Dziękuję panu! Dziękuję z całego serca!

— Ale zdaje mi się, że pani jest jeszcze silnie osłabiona?

— To nic! — zawołała Janka z radością. — Czuję się dość silną, aby powrócić do siebie. A nie lękam się niczego, czując pana w pobliżu!

Podniosła się dosyć łatwo przy pomocy Andrzeja i po chwili zniknęła na zakręcie ulicy.

Podczas tej rozmowy coś poruszyło się pomiędzy ciałami, leżącymi na ziemi.

Był to Barykada. Uniósł się na łokciu i z radością poczuł, że oprócz zranionej ręki nic więcej mu nie dolega. Wkrótce świeże powietrze nocy orzeźwiło go zupełnie.

Po odejściu Janiny skorzystał z oddalenia się Andrzeja Delrue i powstał. Potarł silnie ręką stłuczoną głowę i uśmiechnął się zwycięsko.

— Na ten raz szczęście mi posłużyło — szepnął z ulgą. — Ale teraz trzeba zmykać, ajenci mogą nadejść. Pochylił się nad towarzyszem, nie dającym żadnych oznak życia.

— Biedny Kudłacz! Dali ci radę! Ale poczekaj,